

Teksty Drugie 1995, 1 , s. 162-168



Jurmich (1922-1993)

Bogusław Żyłko

Pozegnania

Bogusław Żyłko

Jurmich (1922–1993)

Zazwyczaj Jurija Michajłowicza Łotmana kojarzy się z tzw. moskiewsko-tartuską szkołą semiotyki kultury. Dostrzega się w nim duchowego przywódcę tej szkoły, organizatora słynnych letnich szkół semiotycznych, redaktora znanej w całym świecie serii – *Trudy po znakovym sistiemam*. Taka kwalifikacja jest jednak zdecydowanie za wąska. Jurij Łotman uprawiał bowiem z powodzeniem wiele dyscyplin naukowych. Był nieprzeciętnym historykiem literatury zwłaszcza końca XVIII – pierwszej połowy XIX wieku. (Jego znajomi mówią, że przygotowując pracę doktorską, przeczytał całą prasę, jaka ukazywała się w Rosji w latach 1800–1815.) Uprawiał teorię literatury (ta działka jest prawdopodobnie najlepiej znana polskim czytelnikom). Napisał znakomity komentarz do *Eugeniusza Oniegina*, daleko wykraczający poza nasze wyobrażenia o tym gatunku piarstwa filologicznego. Pisywał ponadto rozprawy o semiotyce kina i innych rodzajów sztuk.

Jednak bezsprzecznie w centrum tej bogatej i różnorodnej twórczości naukowej znajdują się prace z zakresu semiotyki kultury. Można powiedzieć, że stanowiły one swoiste zwieńczenie tej twórczości, nadające jej znamię pewnej całości.

Semiotyka kultury (szczególnie u „późnego” Łotmana) zaczęła coraz bardziej przybierać postać oryginalnej, całkowicie samodzielnej teorii

kultury, nie pozbawionej akcentów filozoficznych. Znamienne, że ostatnia książkowa publikacja Jurija Łotmana, nosząca tytuł *Kultura i eksplozja* (Moskwa 1993), niejako podsumowuje wieloletnie rozważania autora nad fenomenem kultury.

Bogactwu zainteresowań, przejawiającemu się w wielości twórczo uprawianych dziedzin, towarzyszyła nieustanna ewolucja poglądów, ciągle poszukiwanie z równoczesnym rewidowaniem podstawowych nieraz założeń metodologicznych. Jurij Łotman nie należał do tego typu badaczy, którzy całe życie cyzelują jakąś jedną ideę. Uczony z Tartu nie trzymał się kurczowo jednej koncepcji, poświęcając całą swoją energię na szlifowanie poszczególnych jej elementów. Odwrotnie – stale poszukiwał nowych ujęć, lepiej przybliżających do zrozumienia istoty badanych zjawisk. Przykładowo, w latach sześćdziesiątych, na samym początku strukturalno-semiotycznego etapu swojej biografii, Jurij Łotman przedstawił wizję kultury jako wiązkę „wtórnych systemów modelujących” (tzn. nadbudowanych nad językiem naturalnym). Ale już na przełomie siódmej i ósmej dekady naszego stulecia zastąpił ją obrazem „semiosfery”, prezentującym zupełnie odmienny model kultury. W ostatnich zaś latach skupiał się na problematyce „długiego trwania” w kulturze, poświęcając wiele uwagi roli pamięci w trwaniu i dynamice kultury oraz znaczeniu symboli jako szczególnego rodzaju „kondensatorów pamięci kulturowej”. Szerokość horyzontów badawczych, swobodne przekraczanie umownych przecież granic pomiędzy różnymi dyscyplinami naukowymi (i to nie tylko w obrębie nauk humanistycznych) oraz nieustanne emitowanie strumienia pomysłów, idei, koncepcji teoretycznych – te oto dwie cechy najlepiej być może charakteryzują umysłowość zmarłego uczonego.

Szerszej opinii jednak, zwłaszcza nierusycystycznej, Jurij Łotman znany był przede wszystkim jako niekwestionowany lider szkoły naukowej, zamierzającej zrealizować dawny postulat Ferdynanda de Saussure’a, a mianowicie powołanie do życia nauki, która by się zajmowała rzeczywistością ludzką w jej aspekcie znakowym. Okres – by tak rzec – semiotyczny zaczyna się u Łotmana na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych (mniej więcej dziesięć lat po debiucie naukowym) od wykładów z poetyki strukturalnej. Wykłady te zostały opublikowane w 1964 roku, otwierając w ten sposób wspomnianą serię semiotyczną.

Międzynarodowe uznanie (można nawet powiedzieć – sława) zja-

wiło się stosunkowo szybko. Już w latach sześćdziesiątych mamy pierwsze przekłady prac Łotmana, które później przybrały lawinopodobny charakter. Również w Polsce idee uczonego z Tartu pojawiły się w tamtych latach. Jego nazwisko było już wówczas znane, głównie dzięki publikacjom i przekładom Jerzego Faryny (wówczas rusycysty z Uniwersytetu Warszawskiego), tekstom Edwarda Balcerzana, Marii Renaty Mayenowej, Henryka Markiewicza, Stefana Żółkiewskiego i wielu innych autorów (w przeważającej mierze ze środowiska polonistycznego).

Także piszący te słowa wtedy po raz pierwszy zetknął się z pismami wybitnego „dorpatczyka”. Pamiętam, że pierwszym jego tekstem, na jaki natrafiłem, był artykuł w miesięczniku „Woprosy jazykoznanija” (z 1963 roku), dotyczący literaturoznawczego i językoznawczego rozumienia pojęcia struktury. Począwszy mniej więcej od 1970 roku, dzięki życzliwości znajomych Rosjan, w tym także ludzi z najbliższego otoczenia Jurija Łotmana, zacząłem otrzymywać w miarę regularnie wydawnictwa z Tartu, niektóre z dedykacjami Profesora.

Tak się szczęśliwie złożyło, iż Jurij Łotman nie pozostał dla mnie jedynie mniej lub bardziej abstrakcyjnym „obrazem autora” swoich dzieł. Pod koniec 1983 roku udało mi się usłyszeć i zobaczyć go „na żywo”. Było to w Leningradzie. Jurij Łotman miał mieć odczyt w siedzibie Związku Pisarzy. Dzięki wejściówce, którą dostałem od profesora Borysa Jegorowa, znalazłem się w nabitej sali Domu Pisarza. Profesor mówił o biografii pisarza, o tym, jakie historyczno-kulturowe warunki powinny być spełnione, aby pisarz mógł uzyskać prawo do biografii i aby biografia ta mogła być realizowana jako ciąg świadomych wyborów twórcy. Po odczycie natychmiast otoczyła Profesora spora grupa studentów i doktorantów. Łotman był znany ze swej szczodrości, jeśli chodzi o udzielanie rad i podsuwanie pomysłów. Jego hojność pod tym względem stała się niemal legendarna. W tej sytuacji trudno było nawet marzyć o zamienieniu z nim choćby paru słów.

Gdy mój pobyt w Leningradzie zbliżał się ku końcowi, zdecydowałem się wpaść na kilka dni do Tartu. Korzystając z pomocy przyjaciół, okrężną drogą — najpierw pociągiem do Pskowa, a stamtąd autobusem wokół jeziora Pejpus — dotarłem (był to luty 1984 roku) do celu, stutysięcznego miasta z uniwersytetem z początku ubiegłego stulecia, w którym kształciło się i wykładało wielu Polaków (m. in. spędził tutaj dziesięć lat Jan Baudouin de Courtenay). Zatrzymałem się u państwa

Łarysy i Pawła Wolpertów, pracowników Katedry Literatury Rosyjskiej, której wieloletnim kierownikiem był Jurij Łotman.

Następnego dnia (po uprzedniej rozmowie telefonicznej z Profesorem) udaliśmy się na jego wykład na uniwersytecie. Był to wykład monograficzny dla studentów starszych lat, a jego tematem była twórczość pisarza-sentymentalisty, późniejszego dziejopisarza Rosji, Iwana Karamzina. Z wykładów tych powstała (opublikowana w 1987 roku) książka o nim, będąca swoistą „biografią duszy” pisarza, łącząca narrację naukową i literacką. Tamten lutowy wykład dotyczył pobytu Karamzina w ogarniętej rewolucją Francji. Opowiadając o Paryżu z 1790 roku, Profesor przedstawił paryski krąg znajomych pisarza, rolę salonów i kawiarni literacko-politycznych jako instytucji opiniotwórczych, mówił o modzie jako sposobie manifestowania poglądów politycznych (na przykład, co znaczył niebieski frak Robespierre’a). Wykład obfitował w szczegóły charakterystyczne dla omawianej epoki. Później się dowiedziałem, że Francuzi, przygotowując się do obchodów dwóchsetlecia swojej rewolucji, powierzyli Profesorowi kierowanie zespołem opracowującym rewolucyjną symbolikę i emblematykę.

Po wykładzie Profesor zaprosił nas do siebie na kolację. Mieszkał jakieś dwadzieścia minut pieszo od głównego gmachu uniwersytetu w piętrowej willi. Państwo Łotmanowie zajmowali górną kondygnację, na dole mieściła się przychodnia psychiatryczna. Pani Łarysa opowiedziała mi potem następującą anegdotę, zasłyszaną od Profesora: otóż pewnego dnia Profesor wyszedł w piżamac na balkon. W tym czasie chodnikiem przechodziło jakieś małżeństwo. Profesor dosłyszał słowa kobiety: „O, popatrz. Na dole jest przychodnia, a na górze szpital”. Po wejściu do mieszkania Profesor zaprosił mnie do swego gabinetu, dużego pokoju, którego wszystkie ściany były obstawione półkami z paroma tysiącami książek. Książki w gabinecie to rzecz normalna. Moją uwagę przyciągnął mebel, przy którym Profesor pracował. Edward Balcerzan w „Gazecie Wyborczej” pisał o biurku ogromnych rozmiarów. O ile pamiętam, nie było to biurko-olbrzym, lecz kilka niskich stołów, przypominających tzw. szwedzkie ławy, które zsunięte ze sobą tworzyły jeden wielki stół, wypełniający cały środek pokoju. Na tym „stole” piętrzyły się sterty papierów – maszynopisy rękopisy, rozmaite zapiski na oddzielnych kartkach. Gospodarz jednak znakomicie orientował się we wszystkim; chcąc pokazać mi jakąś umowę nadesłaną z Polski, zanurzył rękę w stertę

dokumentów i po chwili, gestem niemalże prestidigitatora wyciągnął z niej odpowiednie pismo. Pamiętam, że obok tego niezwyklego stołu stało zasłane akuratnie połowe łóżko. Gabinet łączył w sobie sprzeczne cechy: pozorny bałagan, artystyczny nieład z surowością i prostotą pracowni uczonego, bez reszty oddanego swoim badawczym pasjom. Profesor wręczył mi swoje ostatnio wydane prace (biografię Puszkina, tom *Trudow...*, nadbitki artykułów), część z nich prosił przekazać swoim warszawskim przyjaciołom. Po czym podszedł do jednej z półek i zza książek wydobył butelkę ormiańskiego koniaku. Spojrzał na mnie i zapytał, czy mam ochotę. Odpowiedziałem, że właściwie nie protestuję, co Profesor skwitował słowami — „No i charaszo!” Następnie — rosyjskim zwyczajem — przenieśliśmy się do kuchni, gdzie pani domu, Zara Minc, zdążyła już nakryć do kolacji. Rozmowa nie była — jak to zwykle zdarza się w takich sytuacjach — skoncentrowana na jednym temacie. Czasy zarówno w Polsce, jak i w ówczesnym ZSRR nie były wesołe. Pytano mnie o stan wojenny, o reakcje społeczeństwa na poczynania komunistycznej władzy. Opowiadałem o niebywałym rozkwicie wydawnictw „drugiego obiegu”, bojkocie przez znaczną część środowisk twórczych oficjalnych *mass-mediów*, mszach za Ojczyznę. U nich z kolei był to czas, kiedy szybko zmieniali się pierwsi sekretarze w Moskwie. Dokładnie było to po śmierci Andropowa i po przejściu władzy przez Czernienkę. Pamiętam, że tę ostatnią zmianę Jurij Łotman skomentował następująco: „Miejsce jednego trupa zajął drugi trup”.

Następnego dnia odbyliśmy już bardziej „roboczą” rozmowę. Profesor poświęcił mi ze dwie godziny. Miałem pełną świadomość, że spotykam się z wyjątkową osobowością, ale ta świadomość nie była okolicznością krępującą. Nie czułem żadnego dystansu, bariery. Miałem raczej wrażenie, iż rozmawiam z kimś od dawna znanym. Zauważyłem, że w kręgu znajomych Jurija Łotmana była powszechnie używana forma „Jurmich”, a nie standardowa, narzucona przez rosyjską etykietę językową, forma — „Jurij Michajłowicz”. On był po prostu Jurmichem — dla osób bliskich, współpracowników, bliższych i dalszych znajomych. Była w tym naturalnie pewna familiarność, ale bez tej irytującej, bezceremonialnej poufałości. Zresztą było widać, że Profesor akceptuje taką formę zwracania się i że sprawia mu ona nawet pewną przyjemność.

Rozmowa koncentrowała się wokół semiotyki oraz sytuacji w teorii literatury. Przyznam, że z mojej strony nie była ona całkowicie bezin-

teresnawna. W tamtym czasie pracowaliśmy z przyjacielem, filmologiem z Łodzi, Tadeuszem Szczepańskim nad antologią *Rosyjska myśl filmowa* (rzecz miała się ukazać w Wydawnictwach Artystycznych i Filmowych, ale już po złożeniu maszynopisu i podpisaniu umów WAiF wycofał się z tego przedsięwzięcia). Wypytywałem trochę mojego Gospodarza o współczesnych rosyjskich teoretyków kina. Tłumaczyłem również jego esej o semiotyce teatru (dla „Dialogu”) i miałem kłopoty ze znalezieniem właściwego ekwiwalentu słowa 'ansambl', odgrywającego w tym eseju ważną rolę. Zapytałem, czy mogę posłużyć się w przekładzie francuskim pierwowzorem – *ensemble*. Profesor odpowiedział, że tak. Potem rozmowa zesłała na polskie sprawy, mówiliśmy między innymi o tym, co się stało po stanie wojennym z „Tekstami”. Wyraziłem obawę, że tzw. czynniki z Akademii Nauk, niechętnie pismu, mogą wykorzystać sytuację i doprowadzić do jego zupełnej likwidacji. Szkoda czasopisma o ciekawym profilu, otwartego na rozmaite orientacje w humanistyce. I choć w redakcji ton nadawali strukturaliści z Warszawy, to w czasopiśmie bez przeszkód mogli publikować prace semiotycy, jak i hermeneuci, badacze o orientacji socjologicznej i zwolennicy „sztuki interpretacji”, neopozytywiści i „ducholodzy”. Profesor pomyślał chwilę i powiedział: „O, i to też jest *ensemble*”.

Żegnając się, zapytałem, czy nie chciałby przyjechać do Polski, gdzie ma wielu sympatyków. Profesor bezradnie rozłożył ręce i powiedział, że chętnie, „no mienia nie puskajut”. Mówiono mi, że w dziale osobowym uniwersytetu nazbierała się cała teczka zaproszeń z całego świata, ale wszystkie podania o paszport były odrzucane. KGB podejrzewało Profesora o związki z opozycją i samizdatem. Przeprowadzono nawet kiedyś u niego rewizję. Niczego nie znaleziono oprócz wciśniętego w kąt węzełka z medalami bojowymi. (Jurij Łotman całą wojnę przebył na froncie, dopisywało mu jednak szczęście: raz tylko był ranny.) Oficer, kierujący rewizją, był bardzo zaskoczony liczbą tych odznaczeń i zapytał, czy to są rzeczywiście jego odznaczenia, na co otrzymał odpowiedź: „Nie, ja je ukradłem”.

Na Zachód zaczęli puszczać dopiero w okresie gorbaczowowskiej pieriestrojki. Łotman wyjechał z wykładami do Monachium, gdzie doznał ciężkiego wylewu krwi do mózgu. Pozostał po nim jednak trwały ślad – dysleksja. Drugim bolesnym ciosem była utrata żony – Zary Grigorjewny Minc, która nie przeżyła operacji we Włoszech. Profesor jednak nie poddawał się. Nadal publikował (ogromna cru-

dycja umożliwiała tworzenie kompetentnych rozpraw bez potrzeby sięgania do książek), udzielał wywiadów, występował publicznie. Z radością witał demokratyczne przemiany, aczkolwiek dostrzegał też wielorakie zagrożenia. Żyjąc w Estonii, swojej drugiej ojczyźnie, widział przerosty estońskiego nacjonalizmu, wyrażającego się również w drastycznym ograniczaniu praw mniejszości narodowych. Mądrze przed nimi ostrzegał, cierpliwie tłumacząc, że muszą się one w końcu obrócić przeciwko samym Estończykom.

Bardzo interesował się nowinkami naukowymi. Prosił, aby go informować o tym, co się dzieje w nauce polskiej. Czuł zbliżający się kres życia i „koniec” przyjmował ze spokojem stoika. W jednym z ostatnich listów, dyktowanym parę tygodni przed śmiercią, pisał: „Wszystko, co istnieje w naturze, podąża ku swojemu końcowi i ja nie stanowią tu wyjątku”.

Odszedł wielki uczyony–polihistor i niepospolity człowiek. Ale wobec niego szczególnej aktualności nabiera Horacjańskie „Non omnis moriar”. Będzie żył w swoich tekstach i w pamięci zbiorowej, czyli w tych obszarach kultury, w których wypowiadał się w sposób szczególnie przenikliwy.